Tom X. Nr. 15.

21. Maja 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

I.

Pan starosta Wilczek.

Już to najokrutniejszą plagą naszej kochanej ojczyzny byli dawnemi czasy Turcy i Tatarzy. Gęstemi, nieprzejrzanemi chmarami jakby szarańcza zwalało się to pogaństwo na żyźne krainy Polski, a gdzie tylko zajrzeli, tam ci zaraz spalili, złupili, wymordowali wszystko do szczętu.

Aż strach Boży czytać o tych tureckich i tatarskich napadach czyli zagonach w starych pismach i xięgach. Co też bo te pohańcy miast nie narabowali, włości nie napalili, co ludzi w niewolę czyli jasyr jak bydła nie nagnali!.... Mocny Boże! gdyby to tak trafiło na inny jaki naród a nie na polski, toćby już i marnego śladu po nim nie zostało choćby na pokaz!

Ale Polacy ostro się stawili do Turków i choć bisurmanów był zawsze huk niezmierny, to taki zawsze na to wyszło, że okrutnie wzięli po skórze i co tchu uciekali do swej ziemi! Natłukliż się też Polacy tych bisurmanów, co nieprzeliczyć —

ale cóż kiedy ano plugastwa tego była ćma straszna, gdyby piasku na ryniu i co ich nasza hussarya i dragonia albo kozacy przepędzili na cztery wiatry, to zaledwie rok minie, a jużci ich znowu jak wody mnóstwo taszczy się na ziemię polską.

Toć też nieraz kto żyje, ten siada na koń i hajże na Tatara! Zaledwieć jaki odrostek mech ma na brodzie, a już by pewnie pół tuzina tureckich łbów naliczył, co ich na wojence pościnał szablą polską! I takij w końcu dali im Polacy radę, bo ich pod Wiedniem w puch rozbili jak plewę i odtąd już noga pogańska nie stanęła na ziemi ochrzczonej. Ano kto wie jakby było wypadło, gdyby pod Wiedniem dziarski król Jan III nie zgniótł pogańskiej żmiji?....

Ale cóż? wojna zawsze wojną, i choćbyś ją wygrał to człowiekowi do żywego dojmie. To też wielki nieraz był przelew krwi polskiej i niejeden dzielny żołnierz, niejeden wódz sławny poległ na polu bitwy — że już nie chcę wspominać o królu Władysławie Warneńczyku, co zginął na obcej ziemi węgierskiej bijąc się z poganami. Toć jak człowiek o tem wspomni, to się dotąd serce kraje z wielkiego żalu.....

Aleć już bądź co bądź, lepiej było Bogiem a prawdą stracić życie z rąk pogan w imieniu wiary naszej świętej, niźli dostać się w niewolę turecką. Okropnaż bo to dola była w pogańskiej niewoli czyli jak to zwano, w jasyrze! A toć przecież nie jednego, nie dwóch wlekli nieraz poganie w niewolę, ale całemi gromadami, po tysiącu porywali z sobą.

Najczęściej, to już taki nieszczęśliwy nie wrócił nigdy na ukochaną ziemię swoją ojczystą, tylko albo marnie zginął wśród okrutnych męk i pastwy pogan, albo musiał się nawet nieraz wyrzec i wiary ojców swoich. Ale zawsze bywały wypadki, że taki jeden lub drugi nieborak po długich latach wrócił zapomocą Bożą do domu i umierał na własnej ojcowiźnie.

A co za przeróżne przytrafunki przebywali biedni niewolnicy polscy u Turków! To aż nasłuchać się nie można — i gdyby to nie stało dokumentnie w xięgach, przez mądrych i poczciwych ludzi napisanych, toby nieraz człowiek i uwierzyć nie chciał.

Posłuchajcie jeno, a opowiem wam kilka prawdziwych historyj o takich nieszczęśliwych Polakach, co się dostali do niewoli pogańskiej.

A już to najpierw o panu staroście Wilczku:

Na Podolu, nad rzeką Strypą leżał zamek okazały, jak to za dawnych czasów był zwyczaj, że każdy pan możniejszy mieszkał w obronnym, fosami i armatami otoczonym dworze, aby siebie i swój ludek w razie napadu tatarskiego bronić od pogańskiej szabli i niewoli.

W zamku tym mieszkał pan starosta Wilczek. Możny to był pan, bo miał i grosza i ludzi nie mało, i zamek piękny i poważanie wszędy — a już to najbardziej za to go chwalono, że miłował swą ojczyznę Polskę nad całe swe mienie i życie. Niczego nie brakło do szczęścia na ziemi panu staroście Wilczkowi, bo oprócz włości i fortuny obdarzył go Pan Bóg żoną urodziwą i dziateczkami pięknemi, więc też żył sobie spokojnie na pożytek kraju i bliźnich.

Aż tu naraz ni ztąd ni zowąd zebrała się okrutna ćma pogaństwa na Polskę, aby ją zawojować i zniszczyć z kretesem. Było to w roku 1621. W Polsce królował właśnie Zygmunt III. Pogańcy Turki zebrali się w kupę nieprzeliczoną, a jeszcze im dość nie było, bo zaprosili sobie i Tatarów z Krymu i nuż w trzy kroć stotysięcy luda jechać na Polskę.

Już zmierzali do naszej ojczyzny pogańcy — a co tylko w Polsce miało zdrowe kości, chwytało za szablę i garnęło się pod dowództwo hetmana Karola Chodkiewicza, co to był rycerz waleczny i gdzie tylko się wróg pokazał, to go zaraz przytarł jak św. Michał Archanioł szatana.

Trudno więc było wysiedzieć w domu za piecem i panu staroście Wilczkowi. Jak tylko zabiegł go słych o nacierających poganach, zaraz się począł co tchu gotować na wojenkę, tak sobie dumając:

— Zostawię wprawdzie doma i żonę miłą i dziatki ukochane i ludek poczciwy bez opieki — ale ojczyzna pierwsza niż wszystko inne, trza jechać na wojnę i bić pogan Turków co siła, jak na poczciwego Polaka i Chrześcianina przystało!

*

Boć to już taki był święty zwyczaj w naszej Polsce, kochani ludkowie, że co człek miał najmilszego i najdroższego, wszystko porzucił, aby tylko nieść pomoc krajowi. To też i pan starosta Wilczek nie myślał długo, ale hajże na koń i do szabli! Żona w okrutny lament, sługi tożsamo — ba i dziatek żal serdeczny — ale pan Wilczek choć miał serce miękkie jak wosk, to przecież nie został w domu lecz ruszył ze swymi towarzyszami na wojnę.

Małać była garstka Polaków — a Turków moc taka okrutna, żeby ich czapkami zasypać mogli byli, ale nasi nie tracili serca i odwagi, ale z modlitwą na ustach i z szablą w ręku poczęli się srodze bić z Turkami w owej wielkiej bitwie pod Chocimem. I owo patrzcie kochani bracia, choć Turków i Tatarów była taka ilość mnoga, to przecież nie dali się im Polacy, ale owszem natłukli się pogan co niemiara i rozpędzili w puch na cztery wichry.

No ale cóż, gdzie drwa rąbią tam trzaski padają, legło i naszych nie mało, a zaś jeszcze więcej powlekli Tatarzy w niewolę. Owóż między tymi, co ich poganie uciekając popędzili jako jeńców ze sobą, był i pan starosta Wilczek. Bił się on za czterech, płatał Turków na lewo i prawo, że jak muchy padali dokoła, ale w ostatku opadła go czereda cała, a choć się bronił, ile sił stało, zwlekli go z konia, poranili go okrutnie, skrępowali mu ręce i przytroczywszy do konia pognali w niewolę.

Jak pognali, tak i słych zaginął o nim. Wracają nasi z wojny, a cieszą się wielce, że pogańca nakropili — ale nie jedna matka żałośnie płacze po synie, nie jedna żona mdleje za swym mężem! Taka też smutna dola spotkała i panią Wilczkowę. Jak tylko zobaczyła powracających Polaków, zaraz poczęła wypytywać o męża — a gdy się dowiedziała biedaczka, że go Tatarzy srodze poranili i z sobą zabrali tak już płaczom i żalom i lamentom końca nie było. Bo to biedna pani kochała męża jak własne życie i dziatki miała też, a do tego same maleństwo jeszcze, co jej tu tedy robić nieszczęśliwej samej na świecie?....

Mija dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku — czas płynie jak woda, a o panu staroście ani śladu, ani słychu! Jak nie wraca, tak nie wraca — zginął jak kamień w wodzie!

Dziateczki podrastają, pani starościna nie może sobie z niemi dać rady, a w domu bez pana także nie do składu jakoś idzie. Pani Wilczkowa kłopocze się i suszy głowę, co tu robić bez męża i opiekuna, a pana starosty jak nie ma tak nie ma.

Naraz zjeżdżają się i krewni i sąsiedzi pani starościny, ta radzą jej aby drugi raz poszła za mąż. Pani Wilczkowa zaś na to:

— A jakżeż mi to biednej uczynić, mąż mój może żyje jeszcze i wróci do domu!...

Krewni kiwają głowami i mówią:

— Dziecko z ciebie, pan starosta albo zginął na wojnie albo się w niewolę dostał, czy tak czy tak wszystko jedno, pewnie już nie żyje i prędzej niebo jak dom swój obaczy!

Zaś sąsiedzi mówią:

— Młodaś jeszcze i liczka masz krasne i mienie wielkie i dziatki maleńkie — trzeba ci męża i pana. Mąż twój już nie żyje pewnikiem, jak amen w pacierzu leży już w grobie, daj na mszę za jego duszę, i idź za mąż, już się długo naczekałaś!

A tu co raz nowi konkurenci zjeżdżają do dworu, a każdy na dziarskim koniku, a młody i piękny aż miło, czarny wąsik podkręca i karabelą potrząsa i młodą wdówkę o białą rączkę prosi.

Młoda pani myśli i myśli, waha się i waha, aż nareście przemogły namowy i poszła po raz drugi za mąż. Jest owo mąż uczciwy we dworze, jest pan we włości, głowa w domu, fortuna się mnoży, dziatki w łasce Boga rosną zdrowe jak rydze i tylko z opowiadania matuli zasłuchują coś o nieboszczyku ojcu.

I znowu czas płynie, znowu lata mijają, a synek pana nieboszczyka starosty, co go ojciec jadąc na wojenkę, w pieluchach odbieżał, już chłopak szesnastoletni. Już też ani spominki nie ma o panu staroście Wilczku, wszyscy go mają za

umarłego i chyba kiedy syn zapłacze nad ojcem i nad losem jego żałośnym.

Tak stoją rzeczy, kiedy jednego wieczora przychodzi do zamku pielgrzym jakiś ubogi. Na sobie ma płaszcz czarny zakonny, w ręku kostur podróżny, długa broda spływa mu na piersi, a po twarzy mu widać, że wiele, bardzo wiele utrapienia przeżył na świecie.

Puka do wrót zamkowych, otwierają mu pachołcy, wypytuje się o panią, opowiadają mu że poszła drugi raz za mąż i jest zdrowa i szczęśliwa a dziatki także. Pielgrzymowi łzy stanęły czegoś w oczach, twarz zchorowana bardziej mu jeszcze zbladła, trzęsie się jak osika i każe się prowadzić przed państwo.

Państwo witają go łaskawie, pytają zkąd idzie.

— Oj z daleka, z daleka! — odpowiada pielgrzym — aż z ziemi pogańskiej, z Krymu!

I patrzy na gospodynię, a z oczu łzy mu się toczą i patrzy na dzieci, a nogi pod nim drżą, że mało nie upadnie.

Żal się państwu zrobiło pielgrzyma i rzeczą:

— Musieliście się znużyć i zmordować okrutnie, pójdźcie odpocząć, zjemy razem wieczerzę!

Wnet i wieczerzę zastawiono, pielgrzym zasiada z państwem, ale nic nie je od jakiegoś serdecznego żalu, czy z radości.

— A co tam słychać na pogańskiej ziemi? — pyta starościna.

A pielgrzym na to:

— A cóżby? źle bardzo! Dużo tam naszych w niewoli, gorżko biedują, a poganie jak bydłem nimi poniewierają. Ale Bóg łaskawy i oto jaki taki wraca już znowu do swoich!

Zbladła pani starościna, zbladł i jej małżonek nowy i milczą. A ów syn sierota, co go pan starosta zostawił jeszcze w kołysce, ociera sobie łzy z pięknego lica i pyta:

— Oj powiedzcie, powiedzcie staruszku, co o tych nieszczęsnych niewolnikach!... Być tam musi i ojciec mój kochany, co go Tatary pod Chocimem gdzieś zabrali!

Jak ci to usłyszał pielgrzym, tak nie mógł się już dłużej powstrzymać, zrywa się z siedzenia, ze łzami w oczach rozciąga ramiona i woła:

— Synu mój!

Chłopię poskoczyło także i leci do ojca, ale pielgrzym tymczasem upadł na ziemię....

Lecą wszyscy do niego, i pan pobladły i pani przerażona, która w nim swego męża poznała — ale już na darmo, pielgrzym z radości i żalu oddał ducha panu Bogu!...

Był to nie kto inny, tylko sam pan starosta Wilczek, co przez długie lata był w pogańskiej niewoli, aż nareszcie wyrwawszy się z rąk pogan, wrócił do ojczyzny....

Poznali go teraz wszyscy, ale był już trup. Dopieroż żona w płacz i lament, że mężowi wiary nie dochowała, mało jej serce nie pękło, bo była to pani dobra. Ale wszystko przepadło, pana starostę pochowano wśród żalu znajomych i poddanych, a ludzie z podziwu w głowy zachodzili nad tym przytrafunkiem.

Zaś pani starościna nie chciała już żyć z drugim mężem, opuściła go zaraz i poszła do klasztoru, a tam modliła się gorąco do Boga, żeby jej grzech przepuścił, który tylko z namowy i niewiadomości popełniła.

Taka to była historya z panem starostą Wilczkiem. Zaś w dalszych numerkach opowiem wam jeszcze inne ciekawe przytrafunki Polaków w niewoli pogańskiej.

Nasza Polska.

Daleko, daleko,
Te wody już cieką,
Przy których widziałem,
Co tu wyspiewałem.

I dęby spruchniały,
Co przy chacie stały,
Pod których konary
Siadał dudarz stary,

Co po wsiach się włóczył
I piosenek uczył;
Ale w myśli mojej
Wszystko żywo stoi.

Sosna rosochata,
I na łące rzeczka,
Kędy jaskółeczka
Latała skrzydlata;

A białe gołębie
Siadały na dębie;
A w oknie siadała
Panieneczka biała,
Co pieśni spiewała.
Ach! w niebie kraj taki
Jak nasze równiny,
A jakie chłopaki,
A jakie dziewczyny,
Ach Boże jedyny!

A Wisła, ta rzeka
Co w morze ucieka,
Co siwa u brzega
A modra z daleka,
Gdzie płynąc na tratwie
Flis przygrywa dziatwie,
I wiezie na morze
Mazowieckie zboże
Ach Boże mój, Boże!

A każdziuchne pole
Równe jak po stole
To jak z ciepłą wiosną
Pszenice porosną,
A zboże kłosieje,
A wiater powieje:
To zda się w tem zbożu,
Że płyniesz po morzu,
Tak wietrzyk kłosami
Buja jak falami.

Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy
Choć człowiek ubogi,
A jednak szczęśliwy!
I takiej natury,
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry!

Zielona dąbrowa
Stado koni biega,
A jak się wierzbowa
Fujarka rozlega!...
A jak się tam bawią,
Jakie bajki prawią!...
To też dawniej było,
Wszystko się bawiło;
Tak w tym kraju miło!

Teraz tam inaczej
Teraz nie zobaczy
Tych wszystkich radości,
Same tam żałości.
To po dawnych dworach
Srebro stało w worach,
Na srebrze jadali,
W jedwabiach chadzali,
Dziś jadają z gliny,
Mój Boże jedyny!

Lecz choć nie ma wiela
Bogactwa, wesela,
Chociaż więcej biedy
Niźli było kiedy;
Wspomnij jeno komu,
Że ma odejść z domu,
I z domu i z kraju:
Łzami się zaleje...
Na śmierć zatęschnieje
Po rodzinnym kraju!...

Teofil Lenartowicz.

Poniedziałek.

Opowiadanie Jana z nad Sanu.

Znaliście przecież wszyscy Sebastyana ze Skołoszowa. Był to mielnik, jakiego na dziesięć mil w okolicy nie było. Bo czy to młyn komu naprawić, czy wodę dobrze spuścić, czy

wreszcie skrzynię lipową tak zrobić, aby złodziej do niej się nie dostał, wszystko to potrafił mielnik Sebastyan ze Skołoszowa. A sam przecież był prosty chłop. Ojciec zostawił mu tylko siekierę w spuściźnie, którą na życie zarabiał, stawiając karczmy a podpierając cerkwie. Ale Sobek był to sprytny chłopak. Wszędzie zajrzał i podglądnął, co kto robił i sam zaraz próbował. Nauczył się więc ciesielki i trochę stolarstwa, umiał koło obłożyć i dyszel przyprawić, a nawet kilkom sąsiadom postawił piece i Szmulowi na Widaczu komin do połowy wymurował.

I tak rozmyślając i ucząc się od wszystkich czegoś, pomyślał sobie: Po cóż ja będę wszystko ręką i siekierą robił, aby na życie zapracować? trzeba coś zrobić, coby samo potem na mnie robiło!

I tak myślał i myślał, chodząc po nad rzeczką, która do Sanu niedaleko jego gruntu wpadała. Aż razu jednego stanął przy starym młynie i zaczął mu się przypatrywać.

— A tam do kata! zawołał, taż to licho samo się obraca, i samo na człowieka pracuje!

Od tego czasu nie miał już Sobek spokoju ni we dnie ni w nocy. Ustawicznie widział przed swemi oczyma ogromne młyńskie koło, które obracało się z takim łoskotem, że aż serce z radości skakało. A woda tak się rozpryskiwała na wszystkie strony, i takie szklanne perełki sypały się w górę, jakie tylko można w kieliszku wódki widzieć, gdy ją Szmul z Widacza w poniedziałek przy targu nalewa!

Sobek nie spał ani nie jadł, tylko robił i robił to siekierą to hyblem, póki grosza sporo nie uzbierał. Potem wybrał się do Jarosławia i niby prosty chłopek najął się z siekierą do Czecha, który właśnie młyn stawiał. Tam przypatrzył się wszystkiemu, ukradkiem wymierzył wszystkie koła i walce, widział jak wodę spuszczali, aby ją oszczędzić i wszystko dobrze sobie spamiętał. A nim kilka lat upłynęło, Sobek kupił stary młyn na Skołoszowie, i sam własną ręką przebudował go z gruntu. Sąsiedzi nie mogli się nadziwić sprytowi Sobka, który wszystko, czego się tknął, tak zrobić umiał jak najlepszy majster z Warszawy, gdzie to dawniej mieszkał nasz król polski, który mocno o to się starał, aby w kraju byli dobrzy rzemieślnicy.

I tak za lat kilka szczerej i wytrwalej pracy przy pomocy Boskiej miał Sobek młyn pod gontem, a hałas i tartar rozlegał się z niego dniem i nocą na całą milę w około, osobliwie w maju po rosie. Sobek chodził w porządnej, siwej kapocie już trochę z waszecia, a policzki miał tłuste i rumiane jak wójt z Radymna. I lazło jak to mówią, szczęście do młyna Sobka drzwiami i oknami, a Sobek chwalił pana Boga i pracował dalej, nie bacząc na to, że już sam młyn dla niego pracował.

Tak minęło dużo, dużo lat. Co raz więcej grosza przybywało do skrzyni lipowej, a chociaż i dziatwy przybywało Sobkowi, to przecież nie troszczył się dla tego, bo wiedział, że po śmierci jego wystarczy dla wszystkich.

Anioł-stróż wprawdzie jest wesół, kiedy człowiek poczciwie żyje i pracuje, ale szatan zą to gniewa się i złości, i przemyśliwa nad tem, jakby to poczciwego człowieka z dobrej drogi sprowadzić i do złego namówić. A niektóry oprze się tym złym namowom, bo chociaż Pan Bóg mógłby złego ducha od człowieka za dziesiątą górę odepchnąć, to przecież nie czyni tego, bo człowiek ma wolną wolę i wolno mu między złem a dobrem wybierać. Pan Bóg powiada mu tylko co złe a co dobre, i wedle tego sądzić go będzie na sądzie ostatecznym.

I tak przystąpił zły duch do Sobka i zaczął mu do lewego ucha szeptać: Po cóż tak biedujesz a nic nie używasz? Sześć dni robisz jak wół w pługu, a w siódmym dniu idziesz do cerkwi, aby drzemać podczas długiego kazania xiędza wikarego a potem aż do wieczora nudzisz się, bo młyn stoi, a ty żadnej nie masz rozrywki. Głupi Sobku! wszak trzeba używać, co człek sobie zarobił, alboś ukradł albo co? Alboś ty nie pracował gorzko na to? Kieliszek wódki u Szmula nie zawadzi, a w niedzielę ma Szmul szabasówbę, która mu się z soboty została!...

Tak i tym podobnie szeptał zły duch Sobkowi do ucha, gdy tenże po nabożeństwie koło Widacza przechodził, a Sobek skubał się w głowę i spluwał, jakby już w gębie czuł szabasówkę Szmula.

Razu jednego zaprosił Sobka na Widacz kum i sąsiad. W karczmie było nadzwyczaj wesoło. Muzyka grała, chłopi

pili, baby spiewały. A kiedy Sobek jeden i drugi kieliszek do góry przewrócił, rozjaśniało mu niebo przed oczyma, choć na dworze deszcz padał, a czarne chmury gnały od zachodu. Po trzecim kieliszku zaczął sobek spiewać, a po czwartym stał już w tańcu i wybijał podkówkami, aż szyby na Widaczu brzęczały. Szmul był nadzwyczaj gościnny i usłużny. Dolewał, kłapał patynkami i gładził sobie brodę.

Późną nocą wrócił Sobek do młyna. Żonka i dzieci nie jadły obiadu, a płacz i obraza boska rozlegały się po młynie daleko głośniej, jak w dnie powszednie łoskot i tartas kół młyńskich.

Nazajutrz wytrzeźwił się Sobek i puścił młyn. A gdy stał koło kosza, zdawało mu się, że kosz bełkocze do niego:

— No cóż z tego, żeś się trochę zabawił! Wszak ty pracujesz na to. Trzeba rozerwać się, trzeba, a przecież miarka nie zawsze się przebiera! A chociaż się czasem i przebierze?...

Sobek pokręcił głową i rzekł do siebie:

— Kosz dobrze mówi, ale nie ze wszystkiem. Można się trochę zabawić, ale miarki nie trzeba nigdy przebierać. Gdy mierzysz pszenicę a z czubem nasypiesz, to ziarna na ziemię spadają, a szkoda ich. Do karczmy pójść nie zawadzi, ale przed wieczorem trzeba przyjść do domu, aby nie było obrazy boskiej.

I tak co niedziela chodził Sobek do karczmy, aby z kumem lub z sąsiadem pogwarzyć i kieliszek wódki wypić, zawsze jednak uważał na to, aby wcześnie do domu powrócić i obrazy Boga nie robić.

A zły duch śmiał się po cichu i stroił sobie żarty z Anioła-stróża, który stał po drugiej stronie Sobka i smutny był, że Sobek już na złą drogę wchodził. Modlił się tylko gorąco do Boga, aby biednemu grzesznikowi użyczył sił do odparcia pokusy czartowskiej, a w miarę jego modłów jaśniej i widniej robiło się w głowie Sobka, z czego zły duch mocno się gniewał.

Każdy grzech jest to jak wielka maszyna do młócenia zboża. Włóż tylko palec, a ona wciągnie ci całą rękę. Tak samo stało się i z Sobkiem. Chciał on z razu tylko kieliszek wódki z kumem wypić u Szmula, a gdy kilka miesięcy upły-

nęło, Sobek pił każdej niedzieli do późnej nocy, powracał do żonki i dzieci pijany, i znowu była obraza boska, aż się sąsiedzi zbiegali.

Nie dosyć na tem. Przespawszy się trochę, wracał w poniedziałek rano znowu do karczmy, i pił tam znowu dzień cały. Wspomnienia bowiem wczorajszej hulanki były zbyt świeże i tak go nęciły, że nie mógł tego sobie odmówić, aby do karczmy nie wrócić! Tam zastał zawsze kilku próżniaków i włóczykijów, którzy mu schlebiali, bo Sobek miał pieniądze i wszystkim płacił.

I tak nieznacznie przeszło mu to już w nawyczkę i stało się drugą jego naturą. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai, a najsnadniej do grzechu. Sobek zaraz po nabożeństwie szedł do karczmy i pił do późnej nocy. W poniedziałek były poprawiny i jeszcze większa obraza boska, a we wtorek dopiero wytrzeźwiwszy się wracał do pracy. A młyn tymczasem cały poniedziałek stał spokojnie jakby zakuty, żadne koło się nie ruszyło, a nawet woda gdzieś cichaczem uciekała, że jej nawet widać nie było. Żydzi, którzy w poniedziałek ze zbożem do młyna przyjechali, musieli czekać do wtorku, aż się mielnik wytrzeźwi. Ztąd było wielkie narzekanie, a często i obraza boska, bo pijany Sobek rozbijał żydów, gdy który w poniedziałek chciał mleć żyto we młynie.

I tak wiele lat upłynęło, a młyn Sobka słynął na całą okolicę, że w poniedziałek żaden żyd ze zbożem nie śmie się tam pokazać, bo cały dzień mielnik pije na Widaczu, a natrętnych z guzami do domu odsyła. I może jeszcze po dziś dzień truchleliby żydzi z Jaworowa na wspomnienie tego fatalnego poniedziałku, gdyby nadzwyczajne nie było zaszło zdarzenie, o czem wam na drugi raz opowiem.

Proceśniki.

II.

W przeszłym numerku opowiedziałem wam, drodzy ludkowie, gadkę o kmieciu Pływaczu, co się procesował o podkowę, a przegrał konia. A jak sam własnemi oczyma patrzyłem na

tę sprawę, tak znowu mógłbym przysiądz z czystem sumieniem, że gdzie tylko pozywają i procesują się ludzie o rzecz jaką marną lub niesprawiedliwą, tam zawsze cały proces kończy się na tem, że obie strony stracą całą ojcowiznę i grosz zapracowany, jak batem trzasł. I cóż potem?... Potem to chyba jeden lub drugi taki zawalidroga przed własnem sumieniem sobie samemu wyda proces, że z głupoty i koźlego uporu mienie zmarnował a figę wygrał!

Nie byłoby tyle procesów i proceśników na bożej ziemi, gdyby nie niepoczciwi ludzie, co dla własnego zysku szczują i bechtają poczciwego człeka. W każdem prawie miasteczku i w niejednej nawet wioszczynie włóczy się oberwus jakiś, już to najczęściej nie swojak, ale opętaniec jaki ze świata, co nawet naszej poczciwej mowy dobrze nie rozumie. Taki oszust takci umie dogadywać i namawiać, tak pochlebiać i takie złote góry obiecywać, że koniec końcem niejeden poczciwy człeczysko da się złapać na wędę i pocznie się procesować.

— Słuchaj no Walku — mówią tacy podżegacze — ten spłacheć ziemi, co leży za miedzą Andrzeja Rzepki, to Bogiem a prawdą patrzy się tobie a nie komu innemu. Gdybyś miał rozum w głowie, to wydałbyś proces Rzepce i odebrał grunt. Jabym ci pomógł do tego....

A głupi Walek złakomi się zaraz na własność sąsiada i już gotów do procesu. Zaś podżegacz nie przestanie, aż Walkowi do reszty głowę zawróci. Potem wyciąga z Walka grosz po groszu, a gdy go wyssie jak pijawka, wtedy powie:

— Dalibóg, że grunt byś wygrał jak nic, tylko na to pieniędzy potrzeba, a ty ich już nie masz! Szkoda! wielka szkoda! Rzepka będzie się śmiał z ciebie, żeś mu nic zrobić nie potrafił!...

A Walek zatumaniony do reszty biegnie do żyda, pożycza pieniędzy i pcha w oszusta jak w worek dziurawy. Dziś na dokumenty, jutro na stęple, pozajutro znowu na coś innego. Walek pożycza a pożycza, płaci procenta a płaci, pcha w trutnia i pcha co się wlezie, aż w końcu i z kwitkiem pójdzie z sądu, bo się niesłusznie prawował. A gdy pocznie liczyć, ile stracił na proces, to się pokaże, że za te pieniądze byłby

sobie trzy razy tyle gruntu kupił, niż ten spłacheć ziemi, co go chciał niepoczciwym sposobem wydrzeć od Andrzeja Rzepki.

A zawsze znajdzie się drugi głupi, co mimo przykładu na innych da się obałamucić znowu niecnocie podżegaczowi. Owo jednemu człowiekowi się nie dziwuję, że nie ma rozumu — ale wstyd aż patrzyć uczciwemu człeku, kiedy nawet gromada cała, co to przecież wielki człowiek, da się skusić pierwszemu lepszemu włóczykijowi.

— Ten kawałek lasu, co leży nad potokiem, to nie czyj inny tylko wasz — będzie plótł truteń — powinniście go koniecznie odebrać dworowi. I ta łąka za groblą, to też nie dworskie, tylko tak do gromady należy, jak głowa do karku. Gdyby za tem pochodzić, jak się patrzy, tobyście pewnie swoje odebrali....

I nuż dogadywać i judzić, aż gromada wyda proces dworowi i prawuje się zaciekle przez czas długi, a w końcu tak zobaczy las i łąkę, jak ucho własne. Kto jej potem wróci grosz krwawo zapracowany? Kto naprawi zgorszenie ludzkie? Kto zrobi nazad zgodę między nią a dworem?

Ale chybaby Boga nie było, żeby taki oczajdusza i przybłęda, co ludzi poczciwych na złe kusi, nie doczekał się za swoje Nie dość, że mu jaki taki biedny człowieczysko, którego swą brzydką namową na dudka wystrychnął, porządnie ostępluje skórę — ale go i sam Pan Bóg nieraz ciężko za to pokarze.

Oto opowiem wam historyę o jednym takim pisarzu, co nic przez całe życie nie robił, tylko kłócił ludzi i do procesu ich namawiał. Zwał się on Ficel i nie był jak inni porządni ludzie, jeno jakiś oberwaniec nieswojski, z dalekiego gdzieś świata. Żalże się Boże! co ten Barabasz Ficel nie ponarabiał licha między ludkiem uczciwym! Co nie napłatał psikusów, co nie nakłócił ludzi, co nie naoszukiwał, nie nazwodził! A wszystkich jeno przez to, że ich do niesłusznych procesów namawiał. Gorzko nań płakało wielu ludzi — i Bóg go też pokarał nie pomału.

Ale jak Ficel mięszał i niszczył zgodę między ludem, tak mu Pan Bóg pomięszał i zniszczył mózg w głowie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w końcu poznali jakoś wszyscy,

z jakiego to gniazda ptaszek ten Ficel, i już ci chyba okrutnie siarczystego potrzeba było głupca, aby mu się dał do jakiego niechrześciańskiego procesu nakłonić.

I tak się nadarzyło w ostatku, że nikt a nikt nie chodził po radę do Ficla i nikt też prawować się za jego nieczystą pomocą nie chciał. Brakło owo urwipołciowi grosza, a ztąd zgryzota wielka go naszła. Począł pić okrutnie, lał w siebie wódkę, jak w suchy piasek, aż nakoniec z kretesem odszedł od rozumu.

I na toć wyszło w końcu, że Ficel nie mając się już z kim prawować, prawował się sam z sobą.

A owo tak:

Gdy się oczajduszy w głowie przewróciło, takci mu się zaraz ubrdało, że jest dwóch Ficlów na świecie. A że miał dwa imiona Jakób po chrzcie św., a Rafał po sakramencie bierzmowania, więc też w swoich waryackich myślach dumał sobie:

— Jakób Ficel i Rafał Ficel — Ja jestem Jakób Ficel i porządny człowiek — a ten Rafał Ficel to hycel i oberwus i nicpoń i szurgot okrutny! Trzeba temu Rafałowi Ficlowi wydać proces!

I jak pomyślał tak też szalony zrobił. Napisał do cyrkułu, jako Jakób Ficel oskarża Rafała Ficla o to i o to — a już dalipan nie pamiętam co ten waryat sam na siebie tam popisał.

Zaś jak napisał już skargę — to znowu mu się tak na opak marzyło:

— Ja jestem Rafał Ficel, a ten zawalidroga, drab, hultaj Jakób Ficel opisał mię do cyrkułu! Ale nasolę ja jemu! Trzeba zaraz oskarżyć Jakóba Ficla.

I ano patrzcie, kochani ludkowie, opisał znowu na czem świat stoi do cyrkułu niby to jakiegoś Jakóba Ficla! Ano cóż kiedy na jednej skardze nie poprzestał oberwaniec, tylko ciągle Jakób Ficel skarżył na Rafała Ficla — Rafał Ficel na Jakóba Ficla i tak dalej.

W cyrkule łamią sobie panowie głowę — co to za dwaj hultaje tak się okrutnie procesują? A tu skarga idzie za skargą, jak woda — co Jakób Ficel osmaruje Rafała Ficla, to Rafał Ficel jeszcze bardziej przystawi stołka Jakóbowi Ficlowi. Rosną

papiery stosami jak podolska kukurudza — jużci ich tyle co śmiecia na gnoisku. A tu ciągle i ciągle Ficel skarzy na Ficla.

Panowie w cyrkule rada w radę co tu robić z tymi dwoma urwiszami, aż ci nareszcie wyszło na to, że wysłali komisarza, aby sam pojechał do miasteczka, gdzie mieli mieszkać ci obaj Ficle i na miejscu tę sprawę załagodził.

Komisarz przyjechał i stanąwszy w miasteczku przywołał najpierw Jakóba Ficla do sprawy.

Szalony proceśnik stanął przed komisarzem i obstawał przy swojem, co już był popisał do cyrkułu. Krzyczał jak opętaniec:

— Panie komisarzu! Ten Rafał Ficel to urwisz na wielki kamień, oszust i hultaj jakich na świecie mało! Aleć ja już muszę mu koniecznie dojechać! Musi szelma pójść do kryminału! Co musi to musi! A jak mi pan komisarz nie da prawa, to ja rychtyk do Wiednia będę pisał!

Komisarz pokiwał łysą głową, potarł czerwonego nosa i mruknął coś z niemiecka a potem rzekł:

— No, no! idź waszeć do domu.

Skoro odszedł szalony oczajdusza — kazał komisarz przywołać owego Rafała Ficla, aby już obie strony po ludzku wysłuchać.

Aż tu drzwi się roztwierają i wchodzi znowu ten sam Ficel.

— Czego chcesz? huknie komisarz — wołałem Rafała Ficla a nie Jakóba.

A Ficel zaś na to:

— Ja rychtyk jestem ten Rafał Ficel! Ten łotr Jakób Ficel opisał mnie i oczernił przed cyrkułem, ale dam ja jemu bobu! Panie komisarzu co tu ten urwipołeć Jakób Ficel nagadał to wszystko brechnia wierutna! To gałgan i cygan!

Komisarz wlepił oczy w waryata i tak się zatumanił, że długo nie wiedział sam co robić. Aż ci dopiero po chwili połapał się, o co tu chodzi i że ten Ficel zwaryował i sam z sobą się procesował.

Oddano tedy Ficla do szpitalu waryatów i tam marnie zeszedł ze świata! Tak to kończą proceśniki! *W. ze Sm.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.